

ERNEST HEMINGWAY

Mieć i nie mieć

Przełożył Jan Dzierzgowski

MARGINESY

To Have and To Have Not

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION AND AFTERWORD BY
Jan Dzierzgowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

W związku z panującą obecnie tendencją, aby utożsamiać bohaterów literackich z prawdziwymi ludźmi, należy oznajmić, że w książce nie pojawiają się żadne osoby istniejące naprawdę: zarówno postacie, jak i ich imiona i nazwiska są fikcyjne. Jeśli pojawiło się tu nazwisko jakiegokolwiek żyjącej osoby, to stało się tak wyłącznie za sprawą przypadku.



Harry Morgan (wiosna)



Rozdział 1

Wicie, jak to jest wczesnym rankiem w Hawanie, kiedy me-
nele nadal śpią oparci o ściany budynków, a na ulicach nie
pojawiły się jeszcze wozy dostarczające lód do barów? No więc
tak, przecięliśmy plac, idąc z kei do Café de la Perla de San
Francisco, żeby się napić kawy, a na placu był tylko jeden że-
brak i akurat złapał wodę z fontanny. Kiedy jednak weszliśmy
do kawiarni, tamtych trzech już na nas czekało.

Usiedliśmy, a jeden z nich podszedł do nas.

- No i? - zapytał.

- Nie mogę - powiedziałem mu. - Zrobiłbym to nawet za
darmo, ale mówiłem ci już wczoraj wieczorem, że nie mogę.

- Podaj cenę, zapłacimy.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie mogę, i tyle.

Podeszli do nas jego dwaj kumple, stali tylko i wyglądali na
smutnych. Całkiem przystojne były z nich chłopaki, naprawdę
chętnie wyświadczyłbym im przysługę.

- Tysiąc od łebka - zaproponował ten, który dobrze mówił
po angielsku.

- Tym bardziej żałuję - powiedziałem mu. - Ale mówię
szczerze, nie mogę.

- Po wszystkim, kiedy sytuacja się zmieni, nieźle na tym
skorzystasz.

– Wiem. Jestem po waszej stronie. Ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Dzięki tej łodzi zarabiam na życie. Stracę łódź, stracę utrzymanie.

– Za pieniądze od nas kupisz sobie nową.

– Nie w więzieniu.

Pewnie sądzili, że po prostu trzeba mnie jeszcze pourabiać, bo facet nie odpuszczał.

– Dostaniesz trzy tysiące dolarów, poza tym skorzystasz w przyszłości. Pamiętaj, niedługo przyjdą zmiany.

– Posłuchaj – powiedziałem – nie obchodzi mnie, kto jest tutaj prezydentem. Ale nie zabieram do Stanów niczego, co umie mówić.

– Myślisz, że będziemy gadać? – odezwał się jeden z tych, którzy dotąd milczeli. Był zły.

– Powiedziałem: niczego, co umie mówić.

– Masz nas za *lenguas largas*?

– Nie.

– Wiesz, co to *lengua larga*?

– Tak. Gość z długim językiem.

– A wiesz, co robimy z takimi gośćmi?

– Nie bądź taki twardziel – powiedziałem. – To wyście się do mnie zwrócili. Niczego wam nie proponowałem.

– Zamknij się, Pancho – powiedział do rozgniewanego ten, który rozmawiał ze mną wcześniej.

– On twierdzi, że będziemy gadać – odparł Pancho.

– Słuchaj – powtórzyłem. – Mówiłem, że nie przewożę niczego, co umie mówić. Alkohol nie mówi, baniaki z paliwem nie mówią. Są jeszcze inne rzeczy, które nie mówią. Natomiast ludzie mówią.

– A Chińczycy? – spytał Pancho złośliwie.

– Mówią, ale nie rozumiem ani słowa – odpowiedziałem.

– Czyli się nie zgadzasz?

– Tłumaczyłem wam już wczoraj wieczorem: nie mogę.

– A będziesz gadał? – spytał Pancho.

Jedno nieporozumienie i zrobił się nieprzyjemny. Pewnie była to też kwestia rozczarowania. Nie odpowiedziałem.

– Nie jesteś *lengua larga*, co? – spytał, nadal wstrętym tonem.

– Nie wydaje mi się.

– Co to ma znaczyć? Grozisz mi?

– Słuchaj – powiedziałem – nie bądź taki twardziel z samego rana. Nie wątpię, że poderżnąłeś mnóstwo gardeł, ale ja nawet jeszcze nie wypłem pierwszej kawy.

– Taki jesteś pewny, że podrzynam gardła?

– Nie – odpowiedziałem. – I nic mnie to nie obchodzi. Nie potrafisz rozmawiać o interesach bez wkurzania się?

– Teraz akurat jestem wkurzony – powiedział. – Chętnie bym cię zabił.

– Do cholery – odparłem – lepiej już przestań tyle gadać.

– Starczy, Pancho – odezwał się ten pierwszy. Potem zwrócił się do mnie: – Bardzo mi przykro. Liczyłem, że nas zabierzesz.

– Mnie też jest przykro, ale nie mogę.

Cała trójka ruszyła do drzwi, patrzyłem, jak wychodzą. Przystojne były z nich chłopaki, nosili dobre ubrania; żaden nie miał kapelusza, wyglądali, jakby mieli dużo pieniędzy. W każdym razie obiecywali duże pieniądze i mówili angielszczyzną Kubańczyków, którym nie brakuje forsy.

Dwóch wyglądało na braci, trzeci, Pancho, był trochę wyższy, ale w sumie ten sam typ chłopaka. No wiecie, szczupły, dobrze ubrany, lśniące włosy. Chyba trochę zgrywał ostrego. Chyba był bardzo zdenerwowany.

Kiedy wyszli i ruszyli w prawo, zobaczyłem samochód z zamkniętym dachem, jechał przez plac w ich stronę. Najpierw poszła szyba w oknie kawiarni i pocisk wbił się w rząd butelek w gablocie przy ścianie po mojej prawej. Usłyszałem karabin i – bop, bop, bop – butelki wzdłuż całej ściany eksplodowały.

Wskoczyłem za bar po lewej i zza jego krawędzi obserwowałem, co się dzieje. Samochód stał, kucnęło przy nim dwóch gości. Jeden miał Thompsona, drugi strzelbę z odpiłowaną lufą. Ten z Thompsonem był czarny. Jego kumpel miał na sobie jasny płaszcz szoferski.

Zobaczyłem, że jeden z chłopaków leży z rozrzuconymi rękami na chodniku pod dużym, potłuczonym oknem, twarzą do ziemi. Dwaj pozostali ukryli się za wozami z zimnym piwem Tropical stojącymi przed wejściem do baru Cunard, który znajdował się tuż obok kawiarni. Jeden z koni ciągnących wozy upadł, zaplątał się w uprzęż i wierzgał, drugi majtał łbem jak szalony.

Pierwszy z chłopaków strzelił zza wozu, kula odbiła się rykoszetem od chodnika. Murzyn z Thompsonem prawie wtulił twarz w bruk ulicy i pod podwoziem auta posłał serię prosto w wóz, i, proszę bardzo, chłopak oberwał, upadł na chodnik, jego głowa wylądowała na krawężniku. Wierzgał, zasłaniał głowę rękami, a szofer walnął do niego ze strzelby, podczas gdy Murzyn załadował nowy magazynek, ale odległość była za duża i kawałki śrutu poznały tylko cały chodnik jak srebrne krople.

Drugi z chłopaków chwycił trafionego za nogi i wciągnął za wóz, a ja zobaczyłem, że Murzyn znów przywarł do ziemi, żeby posłać kolejną serię. W tej samej chwili mój kumpel Pancho wyskoczył zza wozu i przyczaił się za koniem, tym, który nadal stał. Potem się zza niego wyłonił, z twarzą białą

jak brudne prześcieradło, i z wielkiego Lugera udało mu się położyć kierowcę; trzymał broń w obu rękach, żeby lepiej celować. Dwa razy strzelił ponad głową Murzyna, trzeci strzał poszedł zbyt nisko.

Trafił w oponę, uchodzącą z niej powietrze wzbilo nagle kurz z ulicy i wtedy, z trzech metrów, Murzyn postrzelił Pancha w brzuch z Thompsona, chyba ostatnim pociskiem, bo zaraz zobaczyłem, że odrzucił broń, a stary Pancho usiadł z impetem na ziemi i przechylił się w przód. Próbował się dźwignąć, wciąż trzymał Lugera, ale głowa opadła mu na pierś i już nie dał rady jej podnieść, a tymczasem Murzyn sięgnął po strzelbę leżącą przy kole auta i odstrzelił Panchowi pół czaszki. Nie byle Murzyn.

Pociągnąłem szybko z pierwszej otwartej butelki, którą zobaczyłem, nie potrafiłbym wam powiedzieć, co w niej było. Z powodu całej tej sytuacji zrobiło mi się nieprzyjemnie. Wymknąłem się od tyłu przez kuchnię. Trzymałem się z dala od placu, ani razu nie obejrzałem się na tłum, który szybko gęstniał przed kawiarnią, minąłem bramę, dotarłem do portu i wszedłem na pokład.

Facet, który czarterował ode mnie łódź, już na niej czekał. Opowiedziałem mu, co się stało.

– Gdzie Eddy? – spytał Johnson, czyli facet, co nas czarterował.

– Nie widziałem go, odkąd zaczęła się strzelanina.

– Myśli pan, że jest ranny?

– Pewnie, że nie. Mówiłem, w kawiarni oberwała tylko gałbota z alkoholem. Na samym początku, jak za ich plecami pojawił się samochód. Wtedy kiedy zastrzelili tego pierwszego przed oknem. Podjechali pod takim kątem...

– Skąd ta pewność? – spytał.

– Patrzyłem, co się dzieje – wyjaśniłem mu.

Właśnie w tej chwili podniosłem głowę i zobaczyłem Eddy'ego, który szedł keją, wysoki, bardziej niechlujny niż kiedykolwiek. Każdy jego staw wydawał się wykręcony w niewłaściwą stronę.

– O, idzie.

Eddy wyglądał kiepsko. Z rana nigdy nie prezentował się dobrze, ale rzadko kiedy wyglądał tak marnie jak teraz.

– Gdzie byłeś? – spytałem go.

– Na podłodze.

– Widziałeś, co się działo? – zapytał go Johnson.

– Nie rozmawiajmy o tym, panie Johnson – powiedział Eddy. – Niedobrze mi się robi na samą myśl.

– Lepiej się czegoś napij – powiedział mu Johnson, po czym zwrócił się do mnie: – To jak, ruszamy?

– To zależy od pana.

– Jakie będą dzisiaj warunki?

– Mniej więcej takie jak wczoraj. Może trochę lepsze.

– No to ruszamy.

– Jasne, jak tylko będziemy mieli przynętę.

Koleżka od trzech tygodni łowił z nami w Gólsztromie i przez cały ten czas ani razu nie widziałem żadnej forszy z wyjątkiem stu dolarów, które mi dał, żebym uiścił niezbędne opłaty w konsulacie, kupił trochę żarcia i zatankował, zanim przepłynęliśmy na drugą stronę. Ja zapewniałem cały sprzęt, a on czarterował łódź za trzydzieści pięć dolarów dziennie. Mieszkał w hotelu, codziennie rano zjawiał się na pokładzie. Nagonił mi go Eddy, więc Eddy'ego też musiałem zabierać. Płaciłem mu cztery dolary za dzień.

– Muszę zatankować – powiedziałem Johnsonowi.

– W porządku.

– Będę potrzebował na to trochę pieniędzy.

– Ile?

– Dwadzieścia osiem centów za galon, a powinienem nalać czterdzieści. Wychodzi jedenaście dolarów i dwadzieścia centów.

Wyjął piętnaście dolarów.

– Czy za resztę mam kupić piwo i lód? – spytałem.

– W porządku – powiedział. – Niech pan odliczy od tego, co jestem winien.

Pomyślałem, że od trzech tygodni nie wyjął gotówki, a to trochę długo, ale jeśli był wypłacalny, to co za różnica? Mieliśmy się rozliczać co tydzień, czasami jednak pozwalałem klientowi bawić się cały miesiąc, bo na koniec i tak dostawałem forszę. W sumie nie powinienem, ale na początku cieszyło mnie, że rachunek rośnie. Dopiero przez ostatnie kilka dni zacząłem się trochę niepokoić, ale nie chciałem nic mówić, żeby nie zaczął stroić fochów. Im dłużej chce czarterować, tym lepiej, o ile jest wypłacalny.

– Podać panu butelkę piwa? – spytał, otwierając skrzynkę.

– Nie, dziękuję.

Właśnie wtedy zobaczyłem, że keją idzie Murzyn, który miał odpowiadać za przygotowanie przynęty, i powiedziałem Eddy'emu, żeby szykował się do odbijania.

Murzyn wszedł z przynętą na pokład i odbiliśmy, wypływaliśmy z portu, a Murzyn wziął dwie makrele, przeciągnął hak przez ich pyski i skrzela, rozkroił każdej bok, przeciągnął przez niego łuk haka, przywiązał pyski do przyponu i porządnie przywiązał trzon haka, żeby się nie urwał i żeby ciągnięta przynęta się nie obracała.

To porządnie czarny Murzyn, łebski i ponury, ma stary słomiany kapelusz, a na szyi pod koszulą niebieskie koraliki

voodoo. Na pokładzie lubił spać i czytać gazety. Ale umiał nazykować dobrą przynętę i był szybki.

– Pan nie potrafi szykować przynęty, kapitanie? – spytał mnie Johnson.

– Potrafię, proszę pana.

– No to po co panu czarnuch do tej roboty?

– Zobaczysz pan, jak tylko ryba zacznie uciekać – odpowiedziałem.

– Co ma pan na myśli?

– Czarnuch jest szybki, szybszy niż ja.

– A Eddy nie da rady?

– Nie, proszę pana.

– Mam wrażenie, że to niepotrzebny wydatek.

Johnson płacił Murzynowi dolara dziennie, a Murzyn chodził każdej nocy na rumbę. Spostrzegłem, że już zrobił się senny.

– Potrzebujemy go – powiedziałem.

Minęliśmy już kutry rybackie na kotwicy przed Cabañas i małe łódki, też na kotwicy, z rybakami, którzy łowili lucjanę na kamienistym dnie niedaleko Morro, i poprowadziłem ją dalej, tam gdzie zaczynał się ciemny pas Golsztromu. Eddy zarzucił dwie duże błystki, a Murzyn przynęty na trzech wędkach.

Było tu płytko, ołowianka dotarłaby do dna, a kiedy zbliżyliśmy się do skraju, zobaczyłem, że woda jest prawie fioletowa i wszędzie tworzą się wiry. Wiała lekka bryza z zachodu, widzieliśmy mnóstwo szybujących ptaszorów, tych dużych z czarnymi skrzydłami, co to kojarzą się ze zdjęciem Lindbergha lecącego nad Atlantykiem.

Te duże ptaszory to najlepszy możliwy znak. Gdzie okiem sięgnąć zobaczylibyście żółte, wyblakłe gronorosty, wskazu-

jące, że prąd jest tu silny, w oddali fruwały też ptaki zajmujące się ławicą małych tuńczyków. Moglibyście zobaczyć skaczące tuńczyki; były malutkie, każdy ważył zaledwie kilka funtów.

– Proszę zarzucić, jak będzie pan gotów – powiedziałem Johnsonowi.

Założył pas i uprząż, po czym zarzucił dużą wędkę z kołowrotkiem Hardy’ego. Miał do dyspozycji sześćset jardów linki trzydzieści sześć. Obejrzałem się i zobaczyłem, że przynęta dobrze się ciągnie za łodzią, a dwie błystki co chwila zanurzają się i wyskakują z wody. Płynęliśmy z odpowiednią prędkością, skierowałem łódź na wody Golsfstromu.

– Proszę trzymać koniec wędziska w uchwycie krzesła – przypomniałem mu. – Wtedy wędka nie będzie panu za bardzo ciężka. Poza tym niech pan zwolni hamulec kołowrotka, żeby szybko oddawać linkę, jeśli ryba złapie. Bo inaczej, jeśli złapie przy mocnym hamulcu, pociągnie pana ze sobą do wody.

Codziennie musiałem mu powtarzać to samo, ale mi to nie przeszkadzało. Na pięćdziesiąt czarterów najwyżej raz trafi wam się klient, który potrafi łowić ryby. A nawet jeśli potrafi, to i tak co i raz będzie miał głupie pomysły i uprze się na linkę, która nie utrzyma niczego większego.

– Jakie mamy dzisiaj warunki? – spytał.

– Trudno o lepsze – odpowiedziałem. Faktycznie, dzień był ładny.

Oddałem Murzynowi ster, powiedziałem mu, żeby trzymał się na skraju prądu, i wróciłem do Johnsona, który siedział i patrzył, jak jego przynęta kotłysz się w wodzie.

– Mam zarzucić kolejną wędkę? – zapytałem go.

– Nie, chyba nie – powiedział. – Chcę sam złapać i wciągnąć moją rybę.

– Dobrze – odparłem. – Ale może Eddy zarzuci drugą i ją panu przekaże, jeśli coś się pojawi, a wtedy pan złapie rybę?

– Nie – odpowiedział. – Wolę jedną wędkę.

– W porządku.

Murzyn nadal kierował łódź na otwarte morze, zauważyłem, że zobaczył ławicę ptaszorów trochę przed nami. Odwróciłem się, popatrzyłem na Hawanę, ładnie wyglądała w słońcu. Jakiś statek właśnie wychodził z portu, mijał Morro.

– Myślę, że dziś będzie miał pan szansę powalczyć, panie Johnson – powiedziałem.

– Najwyższy czas – stwierdził. – Jak długo już wypływamy?

– Dzisiaj stuknęły trzy tygodnie.

– Dużo czasu jak na połów.

– To kapryśne ryby – wyjaśniłem mu. – Nie ma ich, nie ma, a potem nagle się pojawiają. A jak już się pojawiają, jest ich mnóstwo. Jak dotąd zawsze prędzej czy później się tu zjawiały. Jeśli dzisiaj nie przyplyną, to już w ogóle nie przyplyną. Księżyc jest odpowiedni. Prąd wydaje się solidny, będziemy mieli dobrą bryzę.

– Kiedy zaczynaliśmy, trafiało się trochę małych rybek.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Tak jak panu mówiłem: małe przestają się tu pojawiać, jeszcze zanim przyplyną duże.

– Typowe gadanie kapitana, który wynajmuje łódź. Zawsze to samo: albo jest za wcześnie, albo za późno, wiatr nie taki jak trzeba, księżyc nie taki jak należy. Ale do brania pieniędzy zawsze jesteście chętni.

– No cóż – powiedziałem mu – smutna prawda wygląda tak, że zazwyczaj jest za wcześnie albo za późno, poza tym często nie ma dobrego wiatru. A potem trafia się idealny dzień, ale wtedy akurat człowiek nie ma wynajętej łodzi i siedzi na lądzie.

– I pańskim zdaniem dzisiaj jest dobry dzień?

– Wie pan – powiedziałem – ja już dzisiaj miałem swoje widowisko, i wystarczy. Ale założę się, że czeka pana sporo rozrywki.

– Oby – powiedział.

Ciągnęliśmy przynętę za łodzią. Eddy poszedł się położyć. Stałem i wpatrywałem się w wodę, szukałem wzrokiem wystającego z niej ogona. Murzyn co jakiś czas zapadał w drzemkę i jemu też się przyglądałem. Idę o zakład, że nocami nieźle się bawił.

– Kapitanie, mógłby mi pan podać butelkę piwa? – spytał Johnson.

– Oczywiście, proszę pana – powiedziałem i sięgnąłem do skrzynki z lodem.

– Pan się nie napije?

– Nie, proszę pana – odpowiedziałem. – Zaczekam do wieczora.

Otworzyłem butelkę i sięgnąłem, żeby mu ją podać, i wtedy zobaczyłem tego wielkiego brązowego skurczybyka z mieczem dłuższym niż moje ramię, wynurzył się do połowy z wody i rzucił na przynętę z makreli. W obwodzie był jak porządna kłoda.

– Oddawaj mu linkę! – krzyknąłem.

– Jeszcze nie wziął – powiedział Johnson.

– No to trzymaj!

Znowu wypłynął, ale przynęta mu się wymknęła, nie zdołał jej połknąć. Wiedziałem, że zawróci i spróbuje ponownie.

– Szykuj się, żeby poluzować linkę, kiedy tylko weźmie!

W tej samej chwili zobaczyłem, że płynie za nami pod wodą. Bez trudu dostrzeżlibyście jego rozłożone płetwy, szerokie jak fioletowe skrzydła, i fioletowe pręgi opasujące brązowe cielsko. Płynął jak łódź podwodna, jego płetwa grzbietowa wyłoniła

się i cięła wodę. Kiedy znalazł się zaraz za przynętą, wynurzył miecz i zaczął nim tak jakby wymachiwać.

– Czekaj, aż ją weźmie do pyska – powiedziałem.

Johnson zdjął dłoń z kołowrotka, kołowrotek zaczął zgrzytać, a stary marlin obrócił się i zanurzył, widziałem, jak całe jego cielsko się srebrzy, kiedy skręcił i zaczął płynąć szybko w stronę brzegu.

– Zaciśnij trochę hamulec – powiedziałem. – Ale nie za bardzo.

Zwiększył napięcie linki.

– Nie za bardzo – powtórzyłem. Widziałem, że linka się odgina. – Mocno hamulec i ciągnij. No, ciągnij, i tak zaraz wyskoczy.

Johnson zacisnął hamulec i pociągnął wędzisko.

– Ciągnij! – powiedziałem. – Daj mu mocno, pociągnij go z sześć razy!

No więc jeszcze kilka razy pociągnął, nagle wędka mocno się zgięła, rozległ się wizgot kołowrotka, a ryba z hukiem wystrzeliła z wody, skoczyła wysoko, idealnie pionowo, zasrebrzyła się w słońcu, a kiedy opadła, zrobiła plusk, jakby zrzucić konia z urwiska.

– Zluzuj hamulec – powiedziałem.

– Urwał się – powiedział Johnson.

– I co jeszcze! Zluzuj hamulec, szybko.

Widziałem, jak linka się odgina, a kiedy znów wyskoczył, był dalej niż poprzednio i kierował się na otwarte morze. Potem wyskoczył jeszcze raz i spienił wodę na białą, a ja zobaczyłem, że hak utkwił mu w pysku. Wyraźnie widziałem też jego pręgi. Porządna była z niego ryba, srebrzysta, opasana fioletem i potężna w obwodzie jak kłoda.

– Urwał się – powiedział Johnson. Linka była luźna.

– Wybieraj linkę – poleciłem mu. – Hak tkwi mocno. Płyni do przodu ile fabryka dała! – krzyknąłem do Murzyna.

Wyskoczył, zaraz wyskoczył po raz drugi, sztywny jak deska, wyłonił się cały, przy każdym lądowaniu wyrzucał wysoką fontannę wody. Linka się naprężyła i zobaczyłem, że zawrócił w stronę lądu.

– Teraz spróbuje uciec – powiedziałem. – Jeśli hak tkwi mocno, będę za nim gonił. Zluzuj hamulec kołowrotka, linki nie zabraknie.

Stary marlin płynął na północny zachód, bo duże marliny zawsze tak robią, i bracie, hak tkwił naprawdę mocno. Ryba zaczęła skakać, wysoko, a każdy plusk przy lądowaniu był taki, jak gdyby o burtę motorówki obijały się morskie fale. Ruszyliśmy za nim, kiedy tylko zawróciłem łódź, trzymaliśmy rybę pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni od linii między rufą a najszerszą częścią łodzi. Sterowałem, ciągle krzychałem do Johnsona, żeby nie zaciskał za bardzo hamulca i szybko oddawał linkę. Nagle zobaczyłem, że wędką gwałtownie szarpnęło i linka zrobiła się luźna. Wyglądała na naprężoną, bo ta jej część, która była pod wodą, sporo ważyła i ciągnęła w dół. Ale ja już wiedziałem.

– Urwał się – powiedziałem Johnsonowi.

Marlin nadal skakał, skakał, dopóki nie zniknął nam z oczu. Niezła była z niego ryba.

– Przecież czuję, jak ciągnie – powiedział Johnson.

– To tylko ciężar linki.

– Ledwo daję radę ją wybierać. Może zdechł.

– Niech pan sam spojrzy – powiedziałem. – Nadal skacze.

Marlin był jakieś pół mili od nas, nadal wzbijał potężne fontanny.

Sprawdziłem hamulec kołowrotka. Był mocno zacisnięty. Nie dałoby się oddawać linki. Musiała pęknąć.

– Mówiłem panu, żeby zluzować hamulec.

– Ale on brał linkę.

– I co z tego?

– To, że musiałem zacisnąć hamulec.

– Niech pan posłucha – powiedziałem. – Jeśli nie odda mu się linki, kiedy hak tkwi tak mocno w jego pysku, to linka pęknie. Żadna by go nie utrzymała. Jak ryba chce, to trzeba oddawać jej linkę. I trzeba zluzować hamulec. Ta sama zasada obowiązuje nawet wtedy, kiedy używa się harpuna. My sterujemy łodzią w taki sposób, aby ryba nie wybrała całej linki, kiedy ucieka. Jak już zacznie uciekać i spróbuje zejść pod wodę, wtedy może pan trochę zwiększyć napięcie, żeby zmusić ją do powrotu na powierzchnię.

– Czyli gdyby nie pękła, to bym go złapał?

– Miałby pan szansę.

– Chyba długo czegoś takiego by nie wytrzymał.

– Marlin zna jeszcze mnóstwo innych sztuczek. Walka zaczyna się dopiero, kiedy zacznie uciekać.

– No to złapmy jakiegoś – powiedział.

– Najpierw musi pan wybrać resztę linki – powiedziałem mu.

Stary Eddy wrócił na rufę. Ryba wzięła, potem się urwała, a Eddy wszystko to przespał.

– Co się dzieje? – zapytał.

Dawniej Eddy dobrze sprawdzał się na łodzi, a potem zrobił się z niego pijaczek i teraz nie ma z niego żadnego pożytku. Stał sobie, wysoki, z zapadniętymi policzkami, wargi mu zwiślały, w kącikach oczu miał jakieś białe farfocle, włosy zupełnie wyblakły mu od słońca. Obudził się, bo zaczęło go suszyć jak diabli, od razu się tego domyśliłem.